

## **Cudze słowa**



**Cudze słowa**  
Wit Szostak



**powergraph**

Warszawa 2020

Copyright © 2020 by Wit Szostak  
Copyright © 2020 by Powergraph  
Copyright © 2020 for the cover by Ula Pagowska  
Wszelkie prawa zastrzeżone.  
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik  
Redakcja: Dariusz Sośnicki  
Korekta: Maria Aleksandrow  
Skład i łamanie: Powergraph  
Projekt okładki i ilustracja: Ula Pagowska

Projekt zrealizowany przy wsparciu finansowym Nagrody Krakowa Miasta Literatury UNESCO,  
realizowanej przez Krakowskie Biuro Festiwalowe ze środków Gminy Miejskiej Kraków.

Wyłączny dystrybutor:  
Dressler Dublin Sp. z o.o.  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32  
e-mail: [dystrybucja@dressler.com.pl](mailto:dystrybucja@dressler.com.pl)  
[www.dressler.com.pl](http://www.dressler.com.pl)



Wydawca:  
Powergraph Sp. z o.o.  
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa  
tel.: +48 22 834 18 25  
[powergraph.pl](http://powergraph.pl)  
e-mail: [powergraph@powergraph.pl](mailto:powergraph@powergraph.pl)

**ISBN 978-83-66178-38-0**

Druk: Białostockie Zakłady Graficzne SA  
Printed in Poland, EU

*Dla Łucji, Kosmy i Ignacego,  
którzy w czasie powstawania tej opowieści  
stawiali swoje pierwsze słowa*



# I. ANTIPASTI





# WERONIKA

Nie ma go tu. Był bogiem. Kochałam go.

Sprawiał, że ludzie czuli smak prawdziwego życia. Kiedy do nich mówił, mieli wrażenie, że są ważni, że wypełniają cały jego horyzont. Przywołując potem te momenty w pamięci, widzieli, jak wszystko nagle nabierało blasku, przeświecone jego obecnością. Nosili te wspomnienia jak skarby. Opowiadali o nich z przejęciem. Bogowie tylko przez mgnienie zaszczycają uwagę śmiertelnych.

Któregoś dnia podszedł do mnie na Plantach, po prostu. Od jakiegoś czasu siedział na ławce naprzeciw, ale był tylko tłem, barwną plamą bez twarzy, i nagle spostrzegłam, że się do mnie zbliża. Jego synkopowany chód, jakby kulał w rytm niesłyszanego melodii. Podniosłam oczy znad książki i czekałam. Byłam ciekawa. Przeprosił i zapytał, czy mam papierosa. Nie miałam, odszedł. Potem nie widziałam go przez wiele miesięcy.

Jakaś impreza, głośna muzyka, alkohol. Prawie sami nieznajomi, ktoś tańczy, ktoś się śmieje. Drugie przypadkowe spotkanie. Podszedł do mnie tym samym krokiem, „my się chyba znamy”, powiedział. Przypomniałam sobie Planty.

Siedliśmy w kącie, piliśmy, rozmawialiśmy. Świat zniknął. I nagle dotarło do mnie, że przez całe życie czekałam właśnie na niego. Wyszliśmy niezauważeni. Odprowadził mnie do domu, wszedł, został. Niby banalna historia, tylu parom się przydarzyła, ale to była nasza historia i dlatego przeżyłam ją tak mocno i do końca.

Żyliśmy rozmowami i seksem. Mieszkanie było pełne naszych śladów. Kiedy opowiadałam o sobie, potrafił słuchać i sam mówił wtedy niewiele. Miał w sobie jakiś cień, który mnie pociągał. Uwiódł mnie, a ja pozwoliłam się uwieść. Potrzebowaliśmy siebie nawzajem, wiedzieliśmy o tym od początku.

Był ode mnie dużo starszy, opowiadałam o nim dziadkowi. Niepokoił się, ale szanował mój wybór. Chciał poznać Rysia, a ja odwlekałam ten moment. Spotkali się dopiero na otwarciu Isoli. Długo rozmawiali. Chyba się lubili.

Ożywiał się, kiedy ja milkłam. Mówił o Śródziemnomorzu. Odwiedzane kraje, wioski, zapachy i smaki. Dziesiątki anegdot, obserwacji, przepisów. Wtedy po raz pierwszy pokazał komuś zeszyty z podróży, w których wszystko było spisane. Notatki mają formę równoważników zdań, są szkicami do opowieści, czekają na swój moment. Nietote i niedokone. Spisywane na kolanie, niewyraźne, zatarte. To podróż przez kuchnie Morza Śródziemnego, próba znalezienia przesmyków do prawdziwego życia. Dzieliłam z nim tę tajemnicę. Mieliśmy coś wspólnego. To on wymyślił restaurację. We mnie rozrósł się entuzjazm, zabraliśmy się do pracy. To było szalone. Zdobyłam pieniądze, wynajęliśmy lokal przy Plantach Nowackiego i zaczęliśmy wszystko urządzać.

Miało być surowo, a nawet prosto i ubogo, żadnych dekoracji, zwłaszcza folkloru. Kuchnia i atmosfera – to do tego ludzie mieli tęsknić i wracać. Wynajęliśmy lokal. Pracowaliśmy ciężko, skrobaliśmy podłogi i ściany. Łamały nam się paznokcie, byliśmy brudni i zmęczeni, w kurzu i pyle. To zbliżało nas do siebie najbardziej. Remontowaliśmy i kochaliśmy się, spoceni.

Pojawili się ludzie. Szymon, przyjaciel Rysia ze studiów. Jan, uczeń Szymona. Jakub, szkolny kolega Rysia. Maciek, syn Rysia. Zostali z nami.

Wreszcie otwarliśmy Isolę. Były tłumy, moi znajomi, jego dawni przyjaciele. Przychodzili w kolejne dni, przyprowadzali nowych gości. A on krążył między nimi. W letnie miesiące chodził boso. Przysiadł się do stolików i opowiadał o Śródziemnomorzu. Był jak cichy bóg tego miejsca. Był mistrzem prawdziwego życia. Widział to, co inni chcieli oglądać. Doświadczył tego, o czym inni jedynie marzyli. Nie górował nad nimi, tylko starał się ich prowadzić. Jedli, słuchali opowieści i kochali go. Zdobywał ich miłość bez jakiegokolwiek wysiłku. Czasem byłam zazdrosna. Sama w cieniu, faktury, zamówienia, dostawcy. Gotował wspólnie, znakomicie pasował do tego miejsca. Stał się tym miejscem. Dla niego Isola była całym życiem.

To nie była zwykła restauracja, goście dobrze o tym wiedzieli. Ciągłe ich zaskakiwała. Niektórzy to lubili, inni nie, ale nie rezygnowaliśmy. Wszystko szło dobrze, jednak po trzech latach pojawiło się zmęczenie. Widziałam, że Ryś musi odpocząć, potrzebował spokoju, kilku dni w Chacie; w końcu ustaliliśmy termin.

Wczoraj wieczorem zostawiliśmy Isolę Janowi i Jakubowi i poszliśmy do domu. Pożegnaliśmy się goręcej niż zwykle, zaczęliśmy na schodach, pachniało kotami i kurzem. Było dobrze. Do mieszkania dotarliśmy po wszystkim. Wziął prysznic, włożył czyste ubranie i wrócił po samochód. Wtedy widziałam go po raz ostatni.

Zadzwonili dziś po południu, opisali samochód i zapytali, czy to mój. Nie chcieli powiedzieć nic więcej, poprosili, bym przyjechała. Na miejscu dowiedziałam się, że doszło do wypadku i że w moim aucie znaleziono zwęglone zwłoki mężczyzny.

Powiedzieli mi, jak zginął. Było ciemno, on był pewnie zmęczony. Na Zakopiance zasnął za kierownicą albo w ostatniej chwili zauważył wyskakującą na jezdnię sarnę. Samochód gwałtownie hamował, wypadł z pasa, przebijając barierkę, i uderzył w drzewo. Doszło do eksplozji. Droga była pusta; gdy pojawili się pierwsi świadkowie, samochód już płonął.

W historię Isoli nikt nie uwierzy, to było spełnione marzenie. Teraz jest już za późno. Isola pozostanie jego dziedzictwem, a ja pozostanę strażniczką pamięci.

Jest noc. Wróciłam z komendy do Isoli. Jest tak pusto. Sięgam po notesy z podróży i czytam. Lektura przynosi pocieszenie. Po raz pierwszy w życiu. Wiem, że go tu nie ma.

# JAN

Wiosna, kwitną kasztany, wykład Witowicza, garstka najwierniejszych słuchaczy. Czyta i objaśnia Derridę, słuchamy, myśl meandruje. To jak bieg przez płotki, ale wciąż. Profesor w dobrej formie. Z reguły jest w gorszej i wtedy wyrzuca z siebie gładko całe akapity. Chowa się za plecami wielkich, referuje błyskotliwie i uwodzicielsko. W lepszej formie jest mniej efektowny, ale wtedy myśl żyje. Młodszy studenci wolą gorszą formę, dopiero z czasem zaczynają cenić gaworzenie i bełkotanie.

Okna otwarte, wpada słońce, pierwsze w tym roku podmuchy gorąca. Za oknem ptaki, zieleń, chciałoby się uciec, walka ze sobą. W połowie wykładu otwierają się drzwi i staje w nich mężczyzna, czterdziestoletni, długie włosy, dzinsy, lniana koszula. Profesor pozdrawia go uśmiechem, ale nie przerywa wywodu. Przybysz stoi chwilę oparty o ścianę, potem przysiadła w ostatnim rzędzie. Siedzę z tyłu, obserwuję go kątem oka. Witowicz, przybysz, wiosna. Profesor starannie dobiera słowa, przelika ślinę, jego głos lekko drży. Gość wstaje i chodzi wzdłuż ściany, pochylony, jakby szukał tropów na podłodze. Studenci z przodu nic nie zauważyli, notują, zasłuchani.

Wykład dobiega końca, profesor podsumowuje, przystygniesz, chyba chce zadać pytanie, ale macha ręką, potem gestem żegna Witowicza i wychodzi. „Nie wiem, czy państwo zwrócili uwagę – komentuje Witowicz – ale przed chwilą objawił się między nami Sokrates”. Gwar, rozglądanie się, tłumione śmiechy. „Nie żartuję – mówi dalej – przed chwilą na wykładzie pojawił się” – tu pada nazwisko. Kończy, pakuje notatki, zbiera się do wyjścia.

To on!

Zrywam się i biegnę.

Tyle razy o nim opowiadał: geniusz, który odrzucił akademię, najzdolniejszy uczeń Czaskiego. Zawsze z szacunkiem, nigdy z ironią. Nie pisze, nie publikuje, milczy. „Ale to on powinien być na tym miejscu”, mówi Witowicz. Jest śmiertelnie poważny. W cieniu jakiś dramat, tego nie ujawnia. Zastyga, uśmiecha się do wspomnień i zaraz pochmurnieje. Żyjemy legendą ukochanego ucznia.

Zrywam się i pędzę, nie wiem, co mną kieruje. Wybiegam z budynku, widzę sylwetkę między drzewami Plant, mijam ludzi, roztrącam matki z wózkami, psy szczekają, dzwoni tramwaj, przeskakuję przez ulicę i za nim. Dopadam go, zdyszany, lekko trącam, zatrzymuje się, patrzy zdziwiony. A ja, że koniecznie, że nie wiedziałem, nie mogłem nie gościć, to bezczelne, wiem, ale musiałem spróbować. Nie patrzę mu w oczy, opieram dłonie o kolana i dyszę. Jest zakłopotany. „Co wam naopowiadał?”, pyta i nie czeka na odpowiedź. „Ma pan kartkę?” Szukam po kieszeniach, wyciągam jakiś świstek, zmięty, chyba paragon. „Przyjdź jutro rano”, rzuca, zapisując adres. Nie żegnamy się, widzę, jak maleje między drzewami, potem skręca na przystanek.

Nie mogę uwierzyć, że mnie nie zbył. Adres w Podgórzu. Układam w myślach pytania. Może zacząć od pochwał? Nie wiem, nie znam go. Mam jedną szansę. A jeśli adres fałszywy? Noc niespokojna, ranek pełen złych przeczuć.

Na miejscu dziwnie. Spodziewałem się mieszkania, tymczasem jakiś lokal w remoncie, pusto. Krążę, zaglądam przez szybę, nikogo. Już mam odchodzić, kiedy dostrzegam cień, przykładam dłoń do oczu, widzę postać. Pukam i macham, podnosi głowę, pokazuje drzwi, zaprasza.

„Dobrze, że jesteś”, mówi. Rosnę. „Tam jest szczotka ryżowa i nóż do skrobania, pomożesz mi”. Nie patrzy na mnie, na kolanach czyści podłogę. Stare, zabrudzone farbą lastriko. Zniszczone dłonie, wiadro, brudna woda. Stoję niezdecydowany. „Nie musisz zostawać”, mówi łagodnie. Biorę szczotkę, szoruję. Milczenie, szuranie, metr po metrze. Rozglądam się. Brudne ściany, półmrok, stare krzesła spiętrzone w kącie. Chcę zagadać, ale obowiązuje milczenie, pracujemy. „Co tu będzie?”, na tyle mnie tylko stać, zaschnięty język, pył w ustach. „Dobre miejsce”, odpowiada, nadal nie patrzy.

Mija południe, w kącie zgrzewka wody, przerywamy, pijemy. „Tu będą stoły, tam kuchnia”, pokazuje niekonkretnie. „Sporo pracy”, dodaje. Co ja tu robię? Obcy facet, szorujemy podłogę, całe ubranie do prania. Niezręcznie. Chcę się wymówić, że zajęcia, że pilnie muszę. Już mam gotowe zdanie, okrągłe, wygładzone. Spogląda na mnie łagodnie, mięknie.

Około siedemnastej otwierają się drzwi i wchodzi dziewczyna, raczej w moim wieku niż w jego. Uśmiecha się, wyciąga rękę, „Weronika – słyszę – więc przyszedłeś?”. Znajduje kawałek czystej podłogi, kładzie tacę, wyciąga z torby chleb, oliwki, pomidory, ser. Znika w drugim pomieszczeniu, przynosi szklanki i butelkę wina. Zapraszają. Myjemy ręce w wodzie mineralnej, przecieramy twarze. On łamie chleb, ona rozlewa wino. Jemy łączywie, Weronika mi się przygląda.

Potem, oparci o ścianę, palimy i on opowiada o Isoli. Wyczarowuje słowami i gestami miejsce, którego nie ma,

jego klimat, gwar ludzi, zapachy potraw i smaki, a ja wszystko widzę i czuję. Jak daleko jest Witowicz, wykłady, teksty Derridy. Tu jest serce świata, przypadkiem trafiłem w samo centrum zdarzeń! Przypadkiem? Przecież zostałem zaproszony. Słucham, pytam, śmiejemy się, trącamy łokciami. Weronika robi kawę. Dzień się chyli.

Co dalej?

Zostałem.

Miałem inne życie, inne plany i nadzieje. Dał mi nowe, zaprosił do swojego. Dawny świat stracił smak. Zostałem.

Mówiłem mu na „ty”, tak chciał; myślałem o nim: „On”. Nie potrafiłem używać jego imienia. Kiedyś nieśmiało nazwałem go Mistrzem, lecz zganił mnie i zagroził rozstaniem. Jaki był? Wymykał się słowom i ludziom. Zawsze obok, na marginesie świata, ale wszyscy wiedzieli, że właśnie stamtąd, zza horyzontu świeci światło. Są smaki na języku i obrazy w kącikach oczu. Są nastroje, które wracają z wiatrem. Wszystko gaśnie w opowieści, uchodzi.

Pierwsze lato po otwarciu Isoli.

Gorąca noc, klienci wychodzą. Śmiechy, wino, potykanie się, wychwalanie potraw. On siedzi na progu, zmęczony, oparty o framugę, pali. Kolejna grupa, nieme pretensje, cmokania i chrząknięcia, nie reaguje. Nie wiedzą, że to właściciel. Potem wspomnienie z Wyprawy. Toskania, mała wioska w górach, osteria na dziesięć stolików. Jedzenie wybitne, harmonia smaków i tajemnica. Wszystko proste, znane, ale podniesione na wyższy poziom. Goście chwalą kucharza, wznoszą toasty na cześć niewidocznego. Kiedy do nich wychodzi, w poplamionym fartuchu, nie wygląda jak artysta, którego czcili. Niewysoki, brzydki, z siwym, żółtym od tytoniu wąsem. Jak chłop z targu albo mechanik w warsztacie. Zobaczył ich zawód, uśmiechnął się przepraszająco, błysnął złoty ząb, rozmowy ucichły. Wrócił do kuchni, a gdy skończył pracę, wyszedł tylnym wyjściem, wsiadł na skuter



i odjechał w noc. „Zazdrościłem mu – powiedział. – Chciałem być jak on: cichy bóg bez kultu”.

Stał się cichym bogiem. A ja zostałem z nim do końca.

# JÓZEF

Gdybym wiedział, że odejdziesz tak szybko, Syneczku, kochałbym cię inaczej.

Ale co to znaczy inaczej? Lepiej, mocniej, mądrzej? Cierpliwiej? Kiedy się urodziłeś, byłem pewien, że będę cię kochał zawsze i ponad wszystko. I bardzo się starałem, ale potem różne sprawy okazywały się ważniejsze. Tyle razy odchodziłeś, zawiedziony. Tyle razy zbywałem cię, mówiąc „zaraz”, „jutro”, „kiedy indziej”, „pobaw się sam”. Czy patrzyłem ci wtedy w oczy? Czy widziałem w nich twój smutek? A może na to także nie miałem czasu? Wiele rzeczy można było zrobić lepiej, przed wieloma słowami się powstrzymać, opanować wiele gestów. Dlaczego tego nie potrafiłem? Przecież byłeś najważniejszy, Syneczku.

Nie można powiedzieć, że było nam ze sobą źle, prawda? Nigdy cię nie uderzyłem, słuchałem cię i rozmawiałem z tobą, może za mało. Ale pięknych wspomnień nam nie brakuje. Pamiętam, jak spacerujemy przez kwitnące łąki, jest lato, grają koniki polne. W chlebaku mam kanapki i malinowy sok w ciężkiej, szklanej butelce. Idziemy wąską ścieżką, a ja opowiadam ci o zwierzętach, o drzewach,

streszczam przygody Tomka Sawyera i historie biblijne. Mówię o Abrahamie, Izaaku, Jakubie i Ezawie. Kiedy teraz wracam do tamtych opowieści, nie mam przed oczami pustyni, na której się wydarzały, ale łąkę i ciebie, idącego kilka kroków przede mną, z pochyloną głową. Widzę, jak przykucasz w swoich sandałach i bierzesz do ręki kamień, patyczek, zaśniedziałą monetę. A ja mówię o misce soczewicy, o walce Jakuba z aniołem, o braciach Józefa. Znałem te historie od zawsze, sądziłem, że potrafię je dobrze opowiedzieć. Nie wiem, czy słuchałeś, czy zajęty byłeś poszukiwaniem skarbów. Tyle ich znosiłeś do domu. Przepalone korki, kapsle, nóż ze zbutwiałą rękojeścią. Brałeś do ręki to czy tamto, pytałeś, czy możesz zabrać, czy mama nie będzie zła, a ja się zgadzałem.

Jak mam cię teraz wspominać? Tym, którzy znali cię krócej, na pewno przychodzi to łatwiej. Mogą szybko sięgnąć pamięcią do pierwszego spotkania. Ja także mogę to zrobić. Pamiętam przecież, jak odbieram was z porodówki, pamiętam blade błękity kocyków, zapach korytarza. I ciebie, kruchego, bezbronniego, opatulonego. Właśnie ten obraz chciałem mieć przed oczami, kiedy ktoś wypowiada twoje imię. Byłoby znakomicie, gdyby od tej sceny zaczynały się moje wspomnienia.

Ale wraca inny obraz. Od lat próbuję go wymazać, zetrzeć jak więzienny tatuaż, ale to na nic. Nigdy cię o tamten dzień nie pytałem, nie miałem odwagi, w ogóle za mało zadawałem pytań, przechodziłem od razu do odpowiedzi. Miałem się za mądrego ojca, który wie wszystko o swym dziecku. A jeśli już pytałem, to bez sensu. O to, co w szkole, co na podwórku, o jedzenie i o lekcje. To oczywiście były poważne sprawy, z nich tkąło się twoje życie, ale pytanie o nie było niepoważne. Bo z góry wiedziałem i oczekiwałem tylko potwierdzenia. To były pytania na odczepnego, podtrzymujące rozmowę, pozorujące kontakt. Nie lubiłeś ich, a ja zrywałem

się, że odpowiadasz zdawkowo. A jak miałeś odpowiadać? Relacjonować każdą lekcję i przerwę, powtarzać każde słowa i opisywać każde zachowania kolegów?

Nie chciałem odpowiedzi, wiedziałem, że w szkole jest dobrze, na podwórku dobrze, wszędzie wszystko dobrze. „W szkole jak w szkole”, mówiłeś, a ja brałem to za bezczelność. Ale przecież tak samo odpowiadałem swojemu ojcu. To znaczy, odpowiadałbym, gdyby pytał. Nie robił tego, czekał, aż wrócę do domu, i mówił: „Jesteś? Trzeba przynieść drewna”. I tyle. Więc żeby nie być jak ojciec, pytałem, i byłem taki sam. Niezainteresowany.

Mówiliśmy w różnych językach, jakbyśmy stali po dwóch stronach przepaści. Ja coś krzyczałem, a ty mówiłeś, że nie słyszysz. Dziecko uczy się twojej mowy, pokonuje kolejne trudności, mijają lata i nagle uświadamiasz sobie, że mowa, którą się posługuje, wcale nie jest twoja. Dziecko używa tych samych słów, potrafi budować zdania, ale mówi już swoim językiem, którego nie rozumiesz i którego nigdy się nie nauczysz. O czym myślałeś, kiedy pytałem o szkołę? Jakie pytanie słyszałeś, mój Syneczku? Nie wiedziałem, że używam obcej mowy, ale czy chciałbym nauczyć się twojej, gdybym wiedział? Czy nie wystarczyłyby mi gniew, że nie chcesz mówić w tej, której cię nauczyłem?

I zobacz, mój Gałganku, co się porobiło: teraz mam tylko pytania. Żadnych odpowiedzi, ani twoich, ani moich.

Pamiętasz tę czerwoną resorówkę? To był piękny samochódzik, twój ulubiony. Matchbox, ford cortina, metalik, otwierane przednie drzwi. Kiedy przychodziłem nocami, by cię przykryć, brałem autko do ręki i cieszyłem się, że je masz. W tamtych czasach to było naprawdę coś. Ile ja się nachodziłem, żeby je dostać!

Czasem się łudzę, że nie pamiętasz tego forda ani tego, co się z nim stało. Że wszystko pochłonęła niepamięć i mogę spać spokojnie. Ale wiem, że nie powinienem na to liczyć,